**ROK PIĄTY.**

—

**№ 46.**

WARSZAWA

d. 30 paźdz. (11 listop.)

**1860.**

**REDAKCYA**

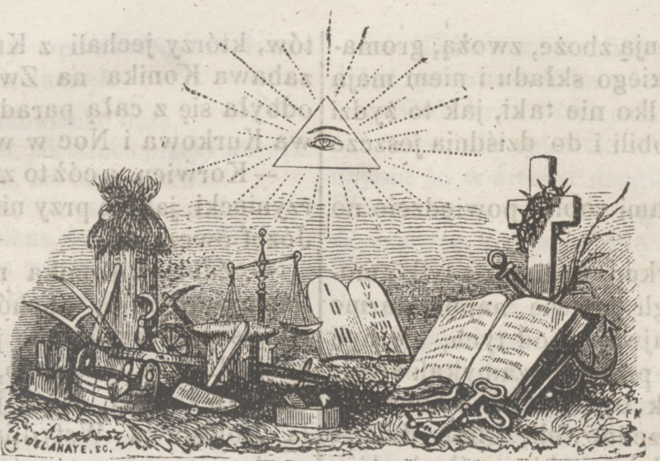
**CZYTELNI**

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

24ta po Świątkach.



„*Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*" (Ś. Wincenty à Paulo).

# CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Nabożeństwo to jest w Bogu: nawiedzać sieroty i wdowy w uciskach ich. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

---

## Wędrówka po kraju.

II.

—

— A witajże nam Korwicu,
Cóż za żal na waszem licu!..
Widne jakieś umartwienie...
Czy obległo co sumienie?..
Toć od kilka już niedzieli
Nic my od was nie słyszeli.

Tak witała serdecznie gromada wsi Policzna swego Korwica wracającego z dalekiej podróży, a Korwic za tę szczerość tak odpowiedział:

— Oj nie, oj nie, bracia drodzy,
Nie bądźcie tak w sądzie srodzy!
Chociaż człek ma swe kłopoty,
Nie odstąpi wśród nich cnoty;
Jak dno jasne w źródła wodzie,
Tak sumienie me w pogodzie,
Zawsze człek uczciwie robi,
I w uczciwość duszę zdobi.

Oto widzicie moi kochani, przed kilku niedzielami nie rzekłszy o tem nikomu ani pół słówka, udałem się w drogę; bo to do drogi, do niewygody, do tej wprawdzie furmańskiej swobody, nieustanna chętka mnie mierzi, i człek tego tak pragnie, jak ryba wody.

— Jużci to prawda: czem skorupka za młodu nawrze, tem na starość trąci, prawda Korwicu? zagadnął Antek.

— Prawda, prawda, mój Antku, już to we mnie chętka do jazdy tak jak żołnierza do batalii: przyszykowałem więc wózek, i zaprzągnąwszy koniki, dalejże do Lublina na wystawę rolniczą. Jak Pana Boga miłuję, tak wam prawdę głoszę; śliczna tam odbyła się uroczystość i było na niej co widzieć: konie, bydło, owce z całego naszego kraju i z zagranicy przypędzone.

— Długoście tam bawili Korwicu? zapytało kilku razem z gromady słuchającej Korwica.

— Przeszło trzy dni, po odbytej zaś wystawie rolniczej i obejrzeniu wszystkiego, co było ciekawe, zaprzęgam konie, i pędzę co tchu do Kalisza. Oj, moi bracia, nie żałuję tej drogi; wiecie co?... oto dobrzy nasi panowie składają, ile tylko kto może do jednej kassy,

i za te pieniądze kupują zboże, zwożą, gromadzą do jednego wielkiego składu i niem mają prowadzić handel, tylko nie taki, jak to żydzi spekulanci z nami robili i do dziśdnia jeszcze robią.

— A jakże to z nami robili? powiedzcie no Korwicu.

— Oto jeździli, wykupywali gdzie tylko mogli i od kogo mogli prawie napół darmo wszelkie ziarno, a najwięcej od tych, co byli biedą przyciśnieni, a potem pozamykali swoje składy i dopiero jak był rwetes o zboże do siewu, na chleb, przednówek, głód, dalejże sprzedawać drogo, obdzierać bez miłosierdzia.

— A nasi panowie jak myślą robić?

— Jużci nie tak jak tamci— panowie założywszy w mieście Kaliszu dom handlowy swoim kosztem, zapobiegają niegodziwemu handlowi spekulantów, biorą się wszyscy do współki, zgromadzają zewsząd zboże i jak potrzeba komu, odstępują po takiej cenie, jaka w połączeniu z kosztami zwózki, przyrządu, utrzymania służby i składu należy. Jak się tak we wszystkich miastach większych, o czem napewno słyszałem, panowie urządzą, to jest w Płocku, w Radomiu i t. d. natenczas będzie błogo dla ludu i dla całego kraju i przednówek nas nie ugnębi, jak to bywało przed laty.

— Śliczne, śliczne nowiny nam przynieśliście kochany Korwicu, daj tylko Boże, aby się ziściły, potakiwała gromada Korwicowi, ciesząc się z tak błogich wieści dla wszystkich.

— Ale, ale Korwicu, zagadnął Jakób Ratajczyk, co to będzie z obietnicą waszą?.. Zaczęliście, a nie kończycie nam rozpowiadać o dawnej swojej wędrówce, tylko fruwacie sobie po świecie, jakby ptaszek, kiedy mu piórka odrosną.

— Co będzie? odrzekł Korwic, oto, że co obiecałem, to spełnię, tylko moi kochani jeżdżąc do Lublina, do Kalisza, do Płocka, do Warszawy, do Radomia, to tak mi się nateraz kręci wszystko w głowie, że już niepomnę, na czem ja to przestał wam opowiadać.

— O krakowskiej ziemi, zawołała gromada.

— Prawda, prawda. Przypominam sobie, że zacząłem wam gwarzyć o tem i poczynało się zanosić nadługo; ale to odłożymy na później, aż sobie lepiej wszystko przypomnę, tylko na teraz wam opowiem świeższe wiadomości, co usłyszałem od znajomych kamratów, którzy jechali z Krakowa: że tego roku zabawa Konika na Zwierzyńcu w Krakowie odbyła się z całą paradą, jak również zabawa Kurkowa i Noc w wigilją Śgo Jana.

— Korwicu, a cóż to znaczy ten Konik Zwierzyniecki, jaki to przy nim obrządek? zagabnął Józef owczarek.

— Zabawa Konika na Zwierzyńcu, jest to dawny uroczysty obchód i należy do najdawniejszych czasów, bo jeszcze za panowania króla Leszka Czarnego, gdy się zapuścili pod Kraków tatarzy, który już poprzednio za króla Bolesława Wstydliwego dwa razy kraj ogniem i mieczem pustoszyli.

— Przypomnijcie, przypomnijcie sobie Korwicu, boświa ciekawi usłyszeć.

— Otóż moi bracia, czytałem w książce u księdza w Modlnicy opis uroczystości o Koniku Zwierzynieckim i nieraz widziałem ją na własne oczy. Zaraz z rana w drugi dzień Bożego Ciała człowiek ubrany w strój tatarski, w zawoju na głowie, w żółtych butach, udaje harce na drewnianym koniku. Człowiek tak ubrany jedzie przy odgłosie muzyki i kotłów wpośród kilku tysięcy ludzi, których co moment do zamieszania prowadzi, zaczepiając ich, jakoby wyzywał do bitwy. W tej uroczystości mieli pierwszeństwo młodzi ludzie nazwani Włoczkami. Włoczki, są to ci, co się trudnili od wieków i trudnią jeszcze po dziś dzień spławem drzewa na Wiśle. To prawo spławiania drzewa do miasta z miejsca zwanego *przystanie*, mieli podpisane i dozwolone przez królów: Władysława 4go, Jana Kazimierza, Michała Korybuta, Jana 3go Sobieskiego, a nawet i przez Stanisława Augusta. Było to prawdziwe bractwo Włoczków, które miłość i jedność miało za święty obowiązek. Na pogrzebie każdego z członków takiego bractwa musieli się znajdować wszyscy inni; którego Włoczka nie było, lub też mocno zachorował, to przynajmniej żona z dziećmi na pogrzeb iść musiała. Bractwo to z Żup solnych Wielickich pobierało corocznie na suche dni po dwie beczki soli, oprócz zwyczajnych wynagrodzeń za przeprowadzanie drzewa na rzecz królewską. Długo by o tem było gadać, zakończę wam lepiej o Koniku Zwierzynieckim ładną piosenką.

— Zaśpiewajcie, zaśpiewajcie Korwicu, wołała gromada.

Korwic rozochocony opowiadaniem i zachęcony do śpiewu, tak zaczął:

O Koniku ci zanucę krakowianko hoża,
Co tańcuje między ludem, jak strach przez rozdroża.
W oktawę Bożego Ciała, lat temu niemało,
Gdy po rynku obnoszono Chrystusowe ciało;
Lud się modlił, giął kolana, bo klęski rozliczne
Najechały jak szarańcza nasze łany śliczne.
Lud się modlił, między tłumy straszna wieść przypadła,
Z rozwianemi na wiatr włosy, spłakana, wybladła
I wrzasnęła w serca mężom i w serca niewieście:
Oj bieda nam, wielka bieda... goreje przedmieście.
Srogi tatar chciwy łupu w Zwierzyńcu plądruje,
Krwią się poi i na zdobycz jako wilk poluje.
Przypadł Włoczek ze Zwierzyńca, rękę podniósł w górę,
Jak gdyby chciał zażegnywać tę pogańską chmurę;
Za mną bracia na tatarów, niechaj zginą marnie,
Nie dozwolmy w ziemi naszej plądrować bezkarnie!

— Ładne, ładne, kochany Korwicu, więcej nam takich piosneczek, zawołała gromada.

— Ha! kiedy wam się podobają moje piosneczki, to wam zaśpiewam piosenkę Włoczka.

Łódko moja łódko, suwaj po głębinie,
Moja ty kolebko, w tobie życie płynie;
W tobie życie płynie tak miło i prędko,
Jak ta złota rybka, co goni za wędką.

Łódko moja łódko, wesoło pruj wody,
Do Halki kochanej płynę Włoczek młody;
Płynę Włoczek młody, o niej sobie myślę,
Jak o złotej rybce, co się pluska w Wiśle.

Łódko moja łódko, jak jaskółka chybka,
Ponieś mnie do brzegu, gdzie jest moja rybka;
Gdzie jest moja rybka, co na mnie wygląda,
I jak kania deszczu tak mnie widzieć żąda!

Czarne kani skrzydła, czarne Halki oczy,
Gdy do niej przypłynę, to ku mnie wyskoczy;
To ku mnie wyskoczy, do serca przyciśnie,
Do mych ust przyłoży swe usta jak wiśnie!

— Patrzajcie no, jaki Korwic rozkochany w swojej Halce! Ej! powiemy przed waszą niewiastą.

— Co było, to nie jest i nie pisze się w rejestr. Moje kobiecisko poczciwe, to wam nie uwierzy; ale kiedy ze mnie tak pokpiwacie, to nie będę więcej ani gadał, ani śpiewał.

— Nie bądźcie tacy gniewliwi Korwicu, czyż to pożartować nie można?

— Chyba że tak, to wam rozpowiem teraz o zabawie Kurkowej.

— Ciekawie słuchamy i pragniemy wiedzieć, jaka to zabawa tego Kurka.

— Otóż krakowiacy na całym Podgórzu Karpat, nie palą sobotek w wigilją Śgo Jana, ale czynią to w święto drugie Zielonych Świątek. Wtenczas to wzgórza i góry całe od Wisły aż do szczytu Karpat płoną tysiącami ogni. Lecz lud krakowski za to noc Święto-Jańską obchodzi pływaniem po wodach ze światłem i śpiewami, puszczaniem wianków na rzeki, a dziewczęta śledząc ich biegu, z zagaśnięcia, lub zatonięcia wyciągają wróżby dla siebie.

— To tak samo, jak na moście Pragskim w Warszawie na Wiśle, prawda Korwicu?

— Tak samo. Otoż moi bracia, znajomy dawny furman, co go spotkałem jadącego z Krakowa na Litwę przez Przedborz, kiedym się z nim rozgadał, jął mi wiele prawić. Co mi więc rozpowiedział, to wam powtórzę.

— Prosimy, prosimy.

— Otóż gdy narzeczkach Prądniku i Rudawie w cichości pojedyncze płynęły wianki, i gdzie niegdzie tylko nad wodą widać było kilkoro ludzi, za to całe wybrzeże od Zwierzynieckiego klasztoru, aż do zamku wyglądało jakby wielki budynek napełniony kilkoma tysiącami ludu. Pośpieszyli wnet wszyscy na wybrzeża Wisły, pomimo nawet dość gęstego deszczu. Tłumem lud zebrany grzmiał oklaskami, a środkiem Wisły po falach suwało mnóstwo łodzi ze światłem; wnet i wianki płynęły gromadnie.

— To było co widzieć.

— A pewnie że było. Całą tę uroczystość przystrajał najwięcej galar, jaśniejący szeregiem różnokolorowych ogni, które promieniły w wodzie.

— Cóz dalej Korwicu? bo pięknie gwarzycie.

— Około tego galaru płynęły różne łodzie, z których wyrzucano bukiety rac, takie same jak to bywają fajerwerki w Warszawie w Łazienkach Królewskich. Zasypywano Wisłę iskrami z młynków ognistych i wypuszczano rozmaite ognie sztuczne. Ten wieniec ognisto złoty jakby w burzy błyskawica za błyskawicą przelatywał żywo środkiem Wisły od Zwierzynieckiego klasztoru.

— Tośmy nigdy tego i nigdzie nie widzieli.

— W chwilach, kiedy zapłonął żywiej nad falami Wisły herb Krakowa: trzy wieżyce, a na nich orzeł, albo zajaśniała chorągiew, albo też jakiś żywszy i ognistszy fajerwerk,

wnet tysiące ludu witało go okrzykiem, który począwszy przy rogatce Zwierzynieckiej, grzmiał jakby ogień plutonowy aż pod zamek królewski.

— Patrzajta no, jak się Korwicowi aż oczy zaiskrzyły, tak żywo opowiada.

— To jeszcze nic moi kochani! najpiękniejsza jest zabawa, strzelanie do Kurka.

— A gadajcież nam tylko pięknie i żywo.

— Tego roku tak jak i dawniej, o czem mówił mi furman znajomy w Przedborzu, odbyła się uroczystość strzelania do Kurka na strzelnicy Krakowskiej. Niejaki pan *Mirowski* strącił ostatni odłamek jego i za to królem kurkowym okrzyknięty został. Ale wiecie co, o mało że go nie uprzedził inny z bractwa strzeleckiego, którego już powitano jako króla i na uczczenie jego po kilkakrotnie wypalano z moździerzy. Gdy się jednak naocznie przekonano, że jeszcze maleńki odłamek Kurka trzymał się przy słupie, stanął wtenczas Mirowski i przecież żeby się okazać, że on, a nie kto inny jest pierwszym, kiedy nie wyceluje, kiedy nie grzmotnie tak dzielnie, że aż się wiórki rozsypały, i kawałek do szczętu strącił. Okrzyknięto Mirowskiego królem strzałów, oprowadzono z honorami, oznakami godności i z muzyką po ogrodzie Strzeleckim przy ulicy Wesołej, a nastepnie zawiedziono go do domu własnego przy ulicy Grodzkiej i wyprawiono mu huczną muzykę strzelecką.

— A to śliczna zabawa, zawołał Grzela pastuch wiejski.

— O ba! nie tylko śliczna, ale i męzka, odrzekł sołtys dawny wojak, któremu strzelanie zawsze na pamięci.

— No, kiedy mi nie dacie skończyć, a to bardzo ciekawa ta zabawa Kurkowa, mówił dalej furman Korwic.

Zaczęła się ona w Krakowie od niepamiętnych czasów i nie była prostą tylko zabawą, ale szkołą strzelecką, w której uczyli się młodzi i uczą strzelać z łuków, kusz, pistoletów, fuzyj, rusznic. Od królów Polskich strzelcy ci mieli nadawane różne prawa, a król Kurkowy zaszczyty i swobody. Urząd krakowski zwany magistratem rozmaite nadawał i udzielał przywileje dla takich strzelców.

Uroczystość popisywania się strzelaniem do Kurka rok rocznie odbywa się w tydzień po oktawie Bożego Ciała. Kto tej uroczystości został królem, był wolnym przez cały rok od wszelkich podatków i dostawał jeszcze w nagrodę podarek *klejnotem* zwany, to jest sześć łokci sukna cienkiego i drogiego, koloru karmazynowego; oprócz tego był wolny od opłaty za sprowadzanie wina i innych towarów, a potem zamieniono na nagrodę pieniężną 3000 złp. rocznie.

— Wiecie co Korwicu, nasz gajowy Antoni pewnikiemby został królem Kurkowym, zagadnął Jacenty cieśla.

— O i jak jeszcze, odpowiedział sołtys; byłem świadkiem, jak na jarmarku w Przedborzu wygrał zakład z innymi strzelcami z lasów rządowych. Zaczęli pokpiwać z niego, że strzelać nie umie; przyszło do sprzeczki, dalejże strzelać do celu. Co Antoni grzmotnie, to w samo cetno. Kule kulą wybijał, a rozochocony krzyknął: nabijcie mi pistolet, a zobaczycie, co umiem. Podano mu pistolet, on się rozzuł z butów, włożył piątkę pomiędzy dwa palce u nóg, i kulą piątkę wysadził w powietrze. Potem kazał, aby mu kto piątkę dwoma palcami u ręki trzymał; żaden ze strzelców tamtych nie chciał tego zrobić. A że człek, jak wiecie, służył wojskowo, ha! rzekłem, niech się dzieje wola Boża: biorę piątkę i trzymam; Antoni pali. Uczułem tylko, że mi palce szarpnęła piątka i wyskoczyła w górę, patrzę, a palce zdrowiusieńkie!

— To mi chwat, zawołał Benedykt kowal; ale to jeszcze nie tak dziarskie, jak ja widziałem w Mazowieckiem, co jeden młody dziedzic zrobił swojem strzelaniem. Służyłem u niego jako forszman — pamiętam, w dzień jego imienin zjechali się goście. Były różne zabawy na podwórzu przede dworem, zawsze mój pan był najpierwszym. Lecz opowiem wam jeszcze najpiękniejszą historyę o tym dawnym moim panu.

Wystawiony był tuż poza dworem spichlerz murowany, z wieżyczką na dachu, a na niej blaszana chorągiewka na wysokim słupku.

Pan mój wypadłszy z gwintówką, rzekł do swoich gości: Panowie bracia! o zakład: z tej fuzyi kulami wyżłobię na chorągiewce rok wystawienia spichlerza. O co idzie zakład? Przystąpił jeden z gości i rzekł: jeżeli to spełnisz, cztery moje siwki i koczyk, któremi przyjechałem do ciebie, jako zakład ofiaruję .. czy

zgoda? Chórem wszyscy rzekli: zgoda! Mój pan zaczął wnet strzelać raz po raz, i w parę godzin rok ..15 na chorągiewce był tak wyraźnym, jakby każdą dziurkę świdrem wykręcił. Cztery siwki i koczyk już były pana mojego, lecz ten jak okazał chwacką zręczność w strzelaniu, tak również był wspaniałym, że za zakład nie przyjął siwków ani koczyka, tylko nściskali go i ucałowali wszyscy i bawili się cały dzień i całą noc.

— Czyliż to tak co nadzwyczajnego, przerwał Korwic. Ja czytałem, jak dawniej nasi panowie swoim narzeczonym, albo swoim żonom koreczki u trzewiczków kulą odstrzeliwali. Dawnemi czasy było wszystko inaczej i ludzie insi: mocniejsi i lepsi. Ale co tam!.. wróćmy do naszego opowiadania o zabawie Kurkowej.

— Dobrze, dobrze Korwicu, lepiej mówić o dawniejszem.

— Zabawa strzelania do Kurka w Krakowie dawniej odbywała się za miastem Kazimierzem, które tuż za Krakowem jest poza Wisłą; późniejszemi czasy na Kleparzu, gdzie jest targ zboża; następnie pomiędzy murami przy bramie Mikołajewskiej w ogrodzie Łobzowskim.

— A tego roku gdzie się odbywała? zapytali.

— Tego roku zabawa kurkowa odbyła się przy ulicy Wesołej, odrzekł Korwic i tak dalej mówił. Ale jeszcze dawniej ten, kto przed królem strzelał ostatni, to jest przed tym, co strącił do reszty Kurka, mianowany był *marszałkiem* dworu króla kurkowego i niósł w czasie uroczystości przed nim laskę marszałkowską czyli buławę, jakby przed prawdziwym królem. Król taki kurkowy postępuje ubrany w kurek srebrny, jako oznakę godności, którą jako pomiątkę towarzystwo strzeleckie dostało od Zygmunta Augusta króla Polskiego.

— Patrzcie ino, to ładna pamiątka.

— A ładna i kosztowna. Bo też za czasów przebywania królów Polskich w Krakowie, o czem w książkach napisano, to było co widzieć w dnie uroczystości strzelania. Cała rodzina królewska, dwór, senatorowie i pierwsi urzędnicy państwa bywali na tych obrzędach strzeleckich i hojnie ich raczono.

— Tu musiało być strojnie i wystawnie?

— Ba, w sam dzień obrzędu wszystkie cechy z chorągwiami schodziły się na mszę świętą śpiewaną do kościoła Panny Maryi w godzinach raunych; na przodzie miały dyrektora szkoły strzeleckiej i 12 wybranych do rady. Po wysłuchaniu mszy świętej i odśpiewaniu Veni Creator, cała parada wychodziła z muzyką i kotłami przy huku dział i moździerzy ulicą Mikołajewską aż na samo miejsce uroczystości.

Przed taką paradą biegli na przedzie postrojeni jak turcy tak nazywani *kozernicy*, czyli młodzi uczący się strzelać; mając lekkie strzelby na ramieniu, skakali, krzyczeli, śpiewali różnemi głosy. Za czasów Zygmunta Starego króla śpiewano piosenkę braci Kurkowych.

— A jaka? powtórzcie nam Korwicu.

— Najchętniej.

A dalejże kozernicy!
Krzeszcie kurki u rusznicy,
Który postrzeli koguta,
Temu zabrzmi wdzięczna nuta;
A kto kurka zbije,
Wiwat król niech żyje!

A dalejże kozernicy,
Wsypcie prochu do rusznicy;
Niech będzie suchy, siarczysty,
Posuwisty i strzelnisty;
A kto kurka zbije,
Wiwat król niech żyje!

A dalejże kozernicy,
Wbijcie kulkę do rusznicy,
Niechaj będzie okrągluchna,
Smagła jak weselna druchna;
A kto kurka zbije,
Wiwat król niech żyje!

A dalejże kozernicy,
Wprawiajcież się do rusznicy,
Gdy się tatar przyjść ośmieli,
Niechaj każdy w łeb mu strzeli,
Bóg da, te bestyje
Król Kurkowy zbije,
Wiwat król niech żyje!

Kozernicy ze śpiewem biegli, a za nimi postępowały cechy wedle starszeństwa, otaczające bractwo Kurkowe, za któremi szli strzelcy poprzedzający samego króla Kurkowego niosącego na piersiach zawieszonego na srebrnym wielkim łańcuchu Kurka srebrnego w złotej koronie, którego miał zdać swojemu następcy. Na tę paradę jechały pojazdy dwu cztero i sześcio konne panów polskich i urzędników krajowych.

— I cóż potem robili? zapytał sołtys.

— Jak tylko kozernicy mający na czele tak zwanego *Malika* ubranego najstrojniej

po turecku od srebra, złota, pereł i korali, zbliżali się przed ogród strzelecki, uderzono znowu z dział i moździerzy, ogłaszając jakoby bezkrólowie na kilka godzin, podczas którego tak nazwany *senat*, złożony z samej starszyzny towarzystwa strzeleckiego, zasiadał miejsce w ogrodzie przygotowane dla wydawania wyroku o sprawności i zręczności ubiegających się o przyszłoroczne berło króla Kurkowego.

— To ciekawe, zawołał stary pastuch.

— I jeszcze jak ciekawe. Bo wtenczas dachy, dymniki, wszystkie okna poblizkich domów, począwszy od bramy Mikołajewskiej aż do Floryańskiej, napełnione były tłumami przyglądającego się tej paradzie różnego ludu; a skoro już Kurek wytrzymawszy tysiączne strzały, został nakoniec zbity ze szczętem, dano potrzeci raz ognia z dział i trębacz na wieży kościoła Panny Maryi ogłaszał mieszkańcom Krakowa imie nowego króla Kurkowego na rok przyszły.

Natychmiast król Kurkowy przeszłoroczny, królowi tegorocznemu oddawał znak piastowanej godności, to jest zawdział mu na szyję łańcuch z Kurkiem, wypił za jego zdrowie puchar starego miodu, a dawny marszałek przeszłorocznego króla, nowemu królowi Kurkowemu wręczył buławę. I wnet wesołe okrzyki: niech żyje król Kurkowy, jak grzmoty rozlegały się dookoła.

I znowu cała parada ruszyła z ogrodu w miasto, prowadząc nowego króla do domu, gdzie go przyjmował na ratuszu magistrat i zgromadzenie strzeleckie hojną zwykle biesiadą, a Kurek srebrny zostawał u nowego króla rok cały, to jest aż do drugiej uroczystości. Król Kurkowy odprowadzony do domu, dawał ucztę dla strzelców wedle możności swojej, dla 12tu zaś mężów i bractwa strzeleckiego wyznaczona była przez towarzystwo strzelców, pewna ilość wina, miodu, pierników, orzechów i rozmaitych potraw.

Tak się odbywały i odbywają rok rocznie w Krakowie uroczystości Konika Zwierzynieckiego, Noc świętego Jana i króla Kurkowego. Podobne są u nas uroczystości ludowe: wyprawy z Warszawy do Bielan, na Saską kępę i na Pelcowiznę. Nastrzelałem wam dosyć dzisiaj, później pomówim o czem innem.

— Oj, dobrze, dobrze kochany Korwicu.

---

## Do tego pana, który przedstawił nam w Czytelni Jadwisię wiejską sierotę.

—

A gdzieżeście to widzieli panie!
Onę Jadwisię, to dziecko biedne,
O którem wasze opowiadanie
Łzę wycisnęło ludziom niejednę?

—

Istnyż to anioł w ludzkiej postaci!
Jak ona matce chrzestnej, Reginie
Podarunkami za krzywdy płaci,
I jest pomocą w smutnej godzinie.

—

Jakaż to dobroć!... broni przed sądem
Tej, która była krwawym jej katem;
Za taką drugą goń morzem, lądem,
Nie najdziesz, chyba gdzie za tym światem.

—

Jaka pokora!.. za domem, w domu,
Wszędy ją trapi złość ludzka wściekła;
A ona za to nigdy nikomu
Marnego słowa nawet nie rzekła.

—

Jaka cierpliwość!.. zewsząd strapiona:
Losy i ludzie, wszystko ją nęka;
A nikt nie słyszał jej użalenia,
Że nazbyt ciężka jest Boża ręka.

—

A gdzieżeście to widzieli panie!
Taką Jadwisię, anielskie plemię?
Czy wespół z kwiatkiem zeszła w zaranie,
Czy z której gwiazdki spadła na ziemię?

—

Damy na świętą mszę do kościołów,
Modlić będziemy się najgoręcej,
Żeby nam Pan Bóg takich aniołów
Dał na ten biedny świat jak najwięcej!

---

## O soli i kopalniach jéj w Wieliczce.

(Dokończenie).

—

*Górnicy* w tych kopalniach dzielą się pomiędzy sobą na właściwych górników, czyli *żeleźników* i *pomocników*.

Pierwsi odpowiednio do zatrudnienia odróżniają się jak następuje:

*a*) *Piecowi*, wyrabiający *chodniki* czyli *piece*, za pomocą prochu przez świdrowanie dziur i wysadzanie skały, lub też pracując samem żelazem.

*b*) *Kopacze*, obrabiający sól w bałwany, i

*c*) *Kruchowi* obrabiający sól w kruchy, czyli czworograniaste kawały.

Pomocnicy górników, noszą także różne nazwy, wzięte od zatrudnienia:

*d*) *Wozacy* rozwożący po kopalni wózkami sól, *hałdę* (*) i cokolwiek się zdarzy innego.

*e*) *Noszacy*, nabijający beczki solą i znoszący je na miejsca wyznaczone.

*f*) *Szybowi*, wydobywający sól na wierzch.

*g*) *Cieśle*, używani do wszelkich robót ciesielskich w kopalni.

*h*) *Bednarze*, przysposabiający i naprawiający beczki.

*i*) *Kowale*, używani do wszelkich robót ich rzemiosła w kopalni.

*k*) *Stajenni*, zajęci około koni wewnątrz kopalni i popędzający je w kieratach.

*l*) *Figuranci*, dodawani do pomocy inżynierom górniczym przy pomiarach w kopalni.

Sposób dobywania soli jest bardzo prosty; otrzymuje się jak kamień z łomu. Od niepamiętnych czasów utrzymuje się zwyczaj obrabiania soli w bałwany, lub w kruchy graniaste; dla tego trzeba większe bryły soli odrywać, z której się dopiero żądane wyrabiają kształty. Tym celem w ścianie solnej wycinają się rowki, na stopę przeszło głębokie, robotę tę zowią *szramowaniem*, czyli wycinaniem *szramu*. Dla otrzymania czworograniastego kawała soli zwanego *kłopciem* wycinają drugą równoległą szramę, na sześć stóp od pierwszej, po lewej stronie zostawiają pospolicie mały wyskok, który zowią *przodkiem*. Po zupełnem wyszramowaniu z dwóch stron, daje żeleźnik szram górny, to jest nacięcie wierzchnie, a potem podcina spodem ową bryłę czworograniastą, czyli kłopeć, mający zwykle 10 do 15 stóp wysokości, a 5 do 6ciu szerokości, dwie zaś stopy grubości. Aby oderwać od łączącego go pokładu solnego, wbijają z jednej i z drugiej strony żelazne kliny; wtedy dopiero pęka i z hukiem pada na ziemię kłopeć, rozłamując się na kilka części. Nieraz potrzeba go jeszcze za pomocą drągów odrywać. Jest to prawdziwie wspaniałe widowisko, kiedy się oddziela kłopeć; pospolicie przed odpadnięciem, zaczyna się wahać, a wreszcie z hukiem, któremu głuche echa odpowiadają, wali się na dół. Odwiedzający kopalnię Wielicką nie powinniby opuszczać tego ciekawego widowiska, dającego poznać, jakim sposobem owe niezmierne przestrzenie podziemne zostały wyrobione. Za czasów dawnych, przysposobiano bałwany nierównie cięższe aniżeli teraźniejsze; ważyły one 20 do 30 centnarów i więcej. Cudzoziemców podróżujących po Polsce, zastanawiały owe potężne bałwany leżące na targach bez przykrycia; do Wrocławia i Drezna nawet je wożono. Waga teraźniejszych nie przenosi pół trzecia centnara. Prócz bałwanów wyrabiają teraz kruchy czyli graniaste ułamki 30 do 50 funtów ciężkie; w beczki zaś nabija się sól drobna, odpadająca przy obrabianiu kruchów i bałwanów.

Górnicy pobierają płacę swą nie za dnie, ale za wyrobioną sól, lub wyznaczone miary w chodnikach. Pilnie pracujący górnik, przez ośm godzin dziennie (robota poczyna się o 6ej rano i trwa do 2ej po południu), powinien zarobić jak następuje:

*a*) Kopacz zł. 3 gr. 4. *b*) Piecowy zł. 2 gr. 24. *c*) Kruchowy zł. 2 gr. 15. Pomocnik pracujący za ugodą od wyznaczonej roboty zarabia dziennie do półtora złotego. Pomocnik zwyczajny pobiera dziennie zł. 1 gr. 3. Młody chłopak do 15 lub 16 lat dostaje tylko połowę.

Ilość rocznie wydobytej soli wynosi około 900,000 centnarów, której większa połowa wychodzi do Królestwa Polskiego.

—

Goście odwiedzający kopalnię, spuszczają się zwykle na linach do jej głębi; urządzenie do tego jest bardzo stosowne, a zarazem bezpieczne. Do głównej liny przyczepiają się cztery szle; są to liny zakończone siatką, na wzór krzeseł urządzone, w które się wsadza gościa. Cztery takie szle są spodem, cztery zaś powyżej, większej albowiem liczby osób nie spuszcza się naraz. Nie tylko ludzie, ale i konie przeznaczone do pracy w kopalni spuszczają się i wyciągają. Skoro koń zawieszony na szelkach poczuje, że nie ma podstawy

(*) Są to okruchy skały solnej.

pod nogami, przelękniony zachowuje się bardzo pokornie i jest zupełnie powolny; dopiero kiedy stanie na ziemi, okazuje żywą radość i wzruszenie.

Komora *Urszula* daje zwiedzającemu pierwsze wyobrażenie o niezmiernych przestrzeniach znajdujących się pod ziemią. Jest to wązka jaskinia znacznej wysokości, całkiem z soli wyciosana, której ściany błyszczą od przełamanych kryształów soli. Po moście wchodzi się przez bramę, nad którą wisi krata kolcami najeżona, jak w obronnych zamkach u mostów zwodzonych. *Michałowice*, jest to największa, a zarazem najwspanialsza komora w całej kopalni; spód jej nierówny składa się z wielkich progów, które zniżając się ku środkowi, tworzą rodzaj doliny, otoczonej skorpowatemi wzgórzami. Kiedy się na sam dół zstąpi, wysłany naprzód chłopiec zapala miotłę, wtedy dopiero poznaje się, jakie ogromne przestrzenie kryją te prawie ciemności. Po drewnianej galeryi, przy samej powale uczepionej, przesuwa się chłopiec z ową zapaloną miotłą; wtedy oko gubi się w tym ogromie. Mimowolnie umysł podziwienie unosi nad tą niezmierną próżnią, której nie spodziewało się znaleść. W środku tej olbrzymiej groty, zwiesza sią żyrandol, mający około 12 stóp średnicy, całkiem z kryształów przeźroczystej soli zrobiony, podobnie jak szkła szlifowanych; ogniem bengalskim komora ta oświecona wspanialszy jeszcze przedstawia widok. Z kolei odwiedzają podróżni komorę *Drozdowice*; wązka i nierównie mniejsza od poprzedniej ma swój odrębny charakter. Przeciwległe ściany składają się jakby z progów zwieszonych, coraz ku górze zbliżających się, a oddalających się od siebie ku dołowi, przez co tworzy się nad grotą rodzaj stromego klepienia. Tutaj leżą zwykle liczne beczki solą nabite, albo dopiero nią napełniane. Dalej w komorze *Franciszek* przebywa się przez most, rzucony nad wielką przepaścią, na spodzie której liczni robotnicy sól wybierają. W pośrodku mostu jest filar, na którym się most wspiera wykuty z soli, podobnie jak i duże piramidy wznoszące się nad mostem. Dalej droga prowadzi przez liczne chodniki i komory; pomiędzy temi najcelniejsze są komory *Steinhauser* i *Rosetti*. Pierwsza jest prawie tak obszerną jak Michałowice; w niej zwykle strzelają z moździerzów, których huk liczne powtarzają echa. W komorze Rosetti, jest staw na kilkanaście stóp głęboki, ściany jego są z samej soli; ale że woda jest całkiem solą nasycona, nie rozpuszcza jej zatem więcej, i dlatego żadnego wpływu na ściany te nie wywiera. W połowie stawu wielka skała łącząca się z bokami groty, przedziela go na dwie części, w środku jest przebitą; na drugim końcu stawu stoi figura Śgo Jana Nepomucena patrona wód i mostów, z soli wykuta. Na końcu zazwyczaj zwiedzają podróżni kaplicę Śgo Antoniego i salę w komorze Łętów, w której obiady znakomitym osobom dawane bywają, a czasem i bale. Kaplica ta jest całkiem z soli wykuta; wchodzi się do niej po 4 stopniach wielkiemi drzwiami misternie wyrobionemi. W wielkim ołtarzu jest posąg, po prawej stronie ołtarza Chrystus Pan na krzyżu, po lewej zaś poboczny ołtarz, a dalej nieco posąg króla Augusta II Sasa. Jest to figura stojąca, prawie wielkości naturalnej, trzymająca w jednej ręce berło, a w drugiej jabłko. W tej kaplicy odbywa się w główniejsze święta nabożeństwo, a z umieszczonej naprzeciw kazalnicy, także ze soli bardzo misternie wykutej, słyszą opowiadanie zgromadzeni górnicy słowa Bożego. Sala sporządzona z komory Łętów, na niemniej baczną zasługuje uwagę. Na przyjęcie dostojnych gości, na jednym jej końcu umieszczoną bywa orkiestra, na przeciwnym zaś transparent zdobny licznemi szkłami kolorowemi. Czasami odbywają się w niej bale, na których po krakowsku poprzebierane pary, wykonywają różne narodowe tańce: oberki, mazury i krakowiaki.

**Prenumerata** wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15.
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 30 paźdz. (11 listop.) 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.